

SUSANNE
JANSSON

TORFOWISKO



MARGINESY



SUSANNE
JANSSON

TORFOWISKO

Przełożyła

Bratumiła Pettersson

MARGINESY

*Ponoć na jednego żywego człowieka przypada
dziesięciu martwych.*

Ta świadomość ciąży i działa na nerwy.

Göran Dahlberg, *Obcowanie z duchami*

To, czego nie ma

Wpełza we wszystko

I wypełnia sobą

Z tomu *głęboka miłość nikt* Ann Jäderlund

Offermossen

COPYRIGHT © Susanne Jansson 2017

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Bratumiła Pettersson

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2018

Almie i Edvardowi

Błędem byłoby twierdzić, że nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Istniało rzecz jasna wielu świadków, którzy tamtej nocy słyszeli rozbrzmiewające echem wystrzały i widzieli, jak ktoś wybiegł z budynku do czekającego na zewnątrz samochodu.

Być może owi świadkowie powrócili potem do swoich spraw. Albo śledzili przebieg wypadków, gdy już przyjechała policja i gdy wynoszono ciała. Mimo to milczeli. Chowali się po krzakach, przesiadywali na drzewach albo unosili się ponad ziemią. Zwykle niezauważani przez ludzi, tworzyli jedność z naturą. Możliwe, że wszyscy oni zaliczali się do świata zwierząt; małych i dużych, szybkich lub powolnych, o bystrym wzroku i na wpół oślepych.

W każdym razie wkrótce prawda o tym, co tu się naprawdę wydarzyło, zaczęła zanikać, aż w końcu rozmyła się na zawsze.

Tak to już często w życiu bywa.

Pod wieczór zerwał się wiatr. Najpierw delikatnie tarł korony drzew, po czym na dobre się rozszalał. W końcu szarpał wszystkim, co mu się napatoczyło. Do zapadnięcia zmroku pozostało jeszcze jakieś pół godziny.

Na parkingu przed dworem Johannes zeskoczył z roweru, po czym oparł go o latarnię. Ciemne włosy związał w kucyk. Pogoda była naprawdę paskudna. W takich warunkach nikt normalny nie wybrałby się biegać.

Więc on chyba nie był normalny.

Gdy przypinał rower, spojrzął w stronę domku Nathalie. W jednym z okien migotało światło lampki naftowej. Widział poruszającą się w środku dziewczynę, cienie na ścianach, nieprędkie i nieuchwytnie.

Jak ona.

Minionej nocy spała u niego. Kiedy obudził się rano, już wyszła. Łóżko było puste.

Wprawdzie wspominała, że nazajutrz musi wstąpić. Jednak był zawiedziony. Przecież tak miło spędzili wieczór – a ona wyszła bez słowa. Nie zostawiła nawet liściku.

Pewnie to typowy lęk przed bliskością – rozmyślał podczas rozgrzewki. Boi się zranienia i woli zachować dystans. To cał-

kiem prawdopodobne wyjaśnienie, jeśli już chciał się zabawić w psychologa.

Rozpadało się na dobre. Może lepiej odpuścić sobie bieganie. Nie ubrał się odpowiednio, z drugiej strony rzadko mu się to zdarzało. Nie zaliczał się do ludzi, którzy regularnie sprawdzają prognozę. Była w tym pewnie jakaś przekora – w tej akurat sferze matka stanowiła jego dokładne przeciwieństwo. Inny ubiór przy każdej zmianie temperatury, specjalne stroje na wszelkie okazje. Dzieciństwo kojarzyło mu się z ciągłym zmienianiem ubrania, tak aby nawet jedna kropelka deszczu czy mroźny podmuch wiatru nie przedostały się przez kolejne warstwy odzieży.

Już jako dorosły człowiek czuł niekiedy dreszcz ekscytacji, kiedy przypadkiem zmókł albo zmarzł.

Zaczął zbiegać w stronę ścieżki i odbił w prawo od domku Nathalie. Po jednej stronie roztaczał się las, po drugiej trzęsawisko, którego widok z czasem stał mu się tak bliski: to bezkresne pustkowia, sękata szara roślinność, teraz, w zacinającym deszczu i na wietrze, sprawiająca wrażenie jeszcze bardziej wytrzymałej i osobliwej.

Przypomniał sobie szron pokrywający zimą tutejszy torfowiec. Było w tym coś nierzeczywistego, jakaś kruchość, jakaś ułudzielska siła. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego.

Kiedyś ni stąd, ni zowąd pojawił się tu wielki łoś. Przedostał się przez zamarznięte bajorka. Coś dzwoniło, skrzypiało, szczerkało niczym w smętnych kurantach. Teraz jego własne kroki brzmiały mu w uszach jak mocne uderzenia, jakby się przebijał do przodu, uparcie i mechanicznie.

Ścieżka, najpierw kręta, po jakimś czasie przechodziła w długi prosty trakt prowadzący do starej kopalni torfu. Tu

i ówdzie dało się dostrzec biegnącą obok zwirową drogę. Po chwili jego oczom ukazał się niewielki parking. Dziś był pusty. Rzadko kogoś tu widywał. Jednak dziś wieczorem, kiedy deszcz smagał jego twarz, to miejsce wydało mu się jeszcze bardziej odludne.

W niektórych miejscach wąska drewniana konstrukcja wciniała się w mokradła. Przez moment zastanawiał się, czy nie skrócić trasy, ale deski były zbyt śliskie. Nie chciał ryzykować. Wystarczyło na chwilę stracić równowagę, żeby...

– Au!

Koślawo stąpnął na kamień, mimo że biegał tu już tyle razy i doskonale znał każdy korzonek, każdą nierówność terenu. Poczł wibrujący w nodze ból, który po chwili zelżał, by zaraz zaatakować z całą siłą.

Niech to szlag!

Skakał na jednej nodze, szukając czegoś, czego mógłby się przytrzymać, ale w końcu runął jak długi na ścieżkę.

Ból był okropny. Wiatr i deszcz szarpały jego ubranie, gdy usiłował wstać. Jednak stopa zupełnie odmawiała mu posłuszeństwa.

Począł chwilę, licząc, że ból odpuści. Przeklinał sam siebie, że zostawił w domu telefon komórkowy. Ma dotrzeć do dworu, kuśtykając na jednej nodze?

Wzdłuż ścieżki rosły gęste zarośla. Postanowił użyć mocniejszych gałęzi jako prowizorycznych kul. Pomysł był niezły, ale musiał z niego zrezygnować – patyki okazały się zbyt kruche.

W drodze powrotnej na przemian to skakał, to powłóczył nogą. Spoglądał na mokradła. I wtedy to do niego dotarło. Przeszło

padać, wiatr zresztą też ustał. Wokół panowały zupełna cisza i spokój.

Dziwne.

Księżyc sunął za chmurami po ciemnym niebie. Podświetlone jego blaskiem smugi mgły unosiły się leniwie ponad wilgotną ziemią.

Zdawało mu się, że usłyszał jakiś odgłos. Wiatr? A może zwierzę? Zabrzmiało to niemal jak jęk. Ciche nawoływanie.

Wtem w oddali na ścieżce dostrzegł łunę.

Światło latarki. Ktoś nadchodzi!

– Halo! – zawołał.

Żadnej reakcji.

– Potrzebuję pomocy. Miałem mały wypadek...

Światło było coraz bliżej i bliżej. W końcu go oślepiło, aż musiał przysłonić oczy dłonią.

– Halo?

Lampę skierowano w innym kierunku, znowu widział.

Co tu się dzieje? – zdążył pomyśleć.

Po czym wszystko okryła czerń.



Trzy tygodnie wcześniej

Puk, puk, puk.

Nathalie otworzyła oczy. Przycisnęła palce do skroni, by uciszyć rozbrzmiewający w jej głowie stukot.

Puk, puk, puk.

Puk, puk, puk.

Puk, puk, puk.

Zerknęła na zegarek – obudziła się ponad dwie godziny za wcześnie. Jak zwykle. Teraz już na pewno nie zaśnie.

Nigdy jej się to nie udaje.

Usiadła na skraju łóżka i zaczęła się zastanawiać, czy ma coś do zrobienia. Raczej nie. Mieszkanie wysprzątała i pochowała swoje rzeczy osobiste. Zapakowane torby, których jeszcze nie wyniosła do samochodu, stały w przedpokoju. Wszystko gotowe.

Wzięła prysznic i na stojąco zjadła śniadanie. Starła się pozostawić po sobie jak najmniej śladów. Skreśliła liścik do osoby, która pod jej nieobecność będzie zajmować mieszkanie, i położyła go na stole w kuchni.

W lodówce jest trochę jedzenia, może się jeszcze nada. Numer konta przestałam wczoraj w mejlu. Miłego pobytu.

Pozdrawiam, Nathalie

Na ulicy panowały niedzielne pustki. Załadowała resztę toreb do bagażnika, usiadła za kierownicą i ruszyła.

Skierowała się wiodącą na północ drogą numer czterdzieści pięć; opuściła Göteborg, nim miasto zdążyło się przebudzić. Tak jakby uciekała od przygodnej miłości.

Zatrzymała się na stacji benzynowej, by zatankować, kupić kawę i parę najpotrzebniejszych rzeczy, które pozwolą jej przeżyć pierwsze dni, gdy już dotrze na miejsce, po czym wyruszyła w dalszą drogę. Krajobraz za oknem zmienił się. Pociemniał, nasycił.

Pomyśleć, że wystarczy zaledwie kilka godzin, by tak bardzo cofnąć się w czasie. Do tej krainy jezior i lasów. Do miejsca, gdzie jest jej prawdziwy dom.

Zawsze czuła się obco w tym dużym mieście nad morzem. Niefrasobliwym, niespokojnym, nieprzewidywalnym morzem. Nigdy nie pasowała do tych ludzi, którzy wciąż wyjeżdżali na żagle, uwielbiali nagie skały i horyzont, ubóstwiali słońce i marzyli jedynie o tym, by świeciło ono jak najmocniej i jak najdłużej. Tego samego oczekiwali chyba od niej – jakiegoś wewnętrznego napędu, którego nigdy w sobie nie miała, ale który do pewnego stopnia nauczyła się markować.

Każdego lata, kiedy stawiała stopy na ciepłym granicie Bohuslänu i schodziła do wody, by się wykąpać, odnosiła wrażenie, że morze odruchowo chce ją wypluć. Jakby wiedziało, że nie jest jego naturalnym elementem.

Teraz o szyby samochodu uderzał wrześniey deszcz. Niepewnie, spokojnie. Jak gdyby jesień skradała się ostrożnie, by nikomu nie przeszkadzać i nikogo nie zdenerwować.

Przyjdź. Po prostu przyjdź.

Po prostu padaj.

Zrobimy to razem.

Minęła zjazd na Åmål, po czym skręciła w kierunku Fengerskog. Ogarnęło ją nagłe, a zarazem obezwładniające poczucie odrealnienia. Sama sobie zadawała pytanie, co właściwie zamierza zrobić. Co chce wprawić w ruch. Jednocześnie uzmysłowiła sobie, że niedługo będzie na miejscu i za późno już, by zawrócić.

Zwolniła przy szkole plastycznej i starej fabryce, w której obecnie mieściły się pracownie, galerie i warsztaty rzemieślnicze. Przy skrzyżowaniu, tam, gdzie wcześniej znajdował się tylko sklepik spożywczy, teraz stały piekarnia i kawiarnia. Młodzi ludzie z płóciennymi torbami pili z dużych szklanic poranną latte albo herbatę. Wkrótce zabudowania zastąpił las, po czym droga skręciła w brzozową alejkę prowadzącą do starego dworu.

Na dużym zwirowym dziedzińcu parkowało kilka samochodów. Wysiadła i nie wypakowując bagaży, ruszyła po żwirze ku wejściu.

Był to okazały, otynkowany na biało budynek zwieńczony czterema wieżyczkami, z seledynowym dachem i ogromnymi oknami. Stał na niewielkim wzniesieniu, jak to często bywa w przypadku dworów. Zazwyczaj spotyka się je w urokliwej okolicy; nad pięknym jeziorem albo pośród falujących pagórków.

Ten dwór różnił się jednak od pozostałych. Wyrastał ponad cichą i niepozorną ziemią, ponad pejzażem skomponowanym ze spowitych mgłą bezkresnych przestrzeni, pochyłych sosen i grzędawisk. Była to kraina, do której światło słoneczne zdawało się nigdy nie docierać, kraina, która nigdy nie wysycha. Która nieustannie nurza się w wilgoci.

I do niej właśnie dobrowolnie powróciła.

– A więc to pani będzie wynajmować domek?

Kobieta, która przedstawiła się jako Agneta, zarządzała dworem. Ubrana była w beżową, stylizowaną na kaftan sukienkę zdobioną szerokim haftem, przez co jej masywna figura przypominała kolumnę. Miała ciemnoblond włosy do ramion i gęstą grzywkę.

– Zgadza się.

Jej mąż stał tuż za nią, niższy o głowę, w ciemnym garniturze; czujnym wzrokiem wodził po pomieszczeniu.

Gustav, pomyślała Nathalie. Jak ochroniarz. Tak ich właśnie zapamiętałam.

– A zatem witam panią w Mossmarken. Wie pani zapewne, że w domku nie ma żadnych wygod. Jest on przeznaczony do użytku głównie w letnich miesiącach.

– To nie stanowi dla mnie problemu. Czy domek ma ogrzewanie?

– Tak, jest piec, a także kuchnia i lodówka turystyczna. Wodę przynosi pani w baniakach z piwnicy we dworze, a komórkę i komputer może sobie pani naładować w naszym biurze. Prysznic i toaleta znajdują się w korytarzu na piętrze. Za domkiem ma pani wychodek. Co jeszcze... – Zastanawiała się przez chwilę. – Aha, może pani też wypożyczyć rower. A tak na marginesie, to skąd pani pochodzi?

– Mieszkam w Göteborgu.

Na ścianach w holu wisały stare portrety przedstawiające eleganckie damy w bufiastych sukniach oraz dumnych umundurowanych dżentelmenów. Fascynowały ją, gdy była dzieckiem, zwłaszcza jeden – ten przedstawiający Sofię Hans-

dotter, żonę właściciela ziemskiego, który zamieszkiwał posiadłość pod koniec dziewiętnastego wieku. W jej pamięć zapadła groszkowozielona suknia Sofii i jej melancholijne spojrzenie.

Mówiono, że straciła siedmioro z ośmiorga dzieci. Że była szalona. Że w tajemnicy dusiła potomstwo, a następnie prosiła męża, by pochowali je na mokradłach przy dworze, bo pragnie mieć dzieci blisko siebie. Mąż spełniał życzenie małżonki, by zaoszczędzić jej kolejnych cierpień. Aż do dnia narodzin ósmego dziecka. Wtedy uświadomił sobie, w jaki sposób umierały poprzednie niemowlęta, i postanowił odebrać matce noworodka. Sofia udała się wówczas w miejsce, gdzie pochowała swoje dzieci. Weszła prosto do bagna i znikła.

Nikt nie ruszył jej z pomocą.

Owo ósme dziecko wyrosło na zdrowego i silnego mężczyznę, który potem odziedziczył posiadłość. Był to pradziadek obecnego właściciela, Gustava.

– Wraz z Gustavem od ponad trzydziestu pięciu lat prowadzimy tu pensjonat. Wcześniej zajmowali się tym rodzice męża – dumnie ciągnęła Agneta; z pewnością nie pierwszy raz opowiadała tę historię. – Posiadłość jest w rodzinie Gustava od siedemnastego wieku. Ze wszystkich tych obrazów patrz na nas jego przodkowie. – Machnęła zamasyżycie ręką.

Z góry zeszła jakaś kobieta.

– A oto i nasza gospodyni Jelena. Przyrządza najsmaczniejszą wędzoną sięgę po tej stronie jeziora Wener... w razie gdyby chciała się pani u nas kiedyś stołować.

Jelena była blada i szczupła, zupełnie nie przypominała klasycznych zażywnych pań z wyobrażeń o gospodyniach.

– A to Alex, nasz człowiek od wszystkiego – powiedziała Agneta, kiedy wysoki umięśniony mężczyzna wszedł do środka.

– Jak coś się zepsuje, proszę go łapać.

Alex przystanął, skinął głową. Wzrok miał utkwiony gdzieś w żyrandolach. Po chwili odszedł w stronę pomieszczeń położonych na tyłach.

– Gdyby miała pani jakieś pytania, jesteśmy z Gustavem do dyspozycji w dni powszednie między dziewiątą a szesnastą. Na ogół można nas znaleźć w biurze, które mieści się tu obok. Jeśli akurat nie stoimy na jakiejś drabinie, nie malujemy drzwi obory albo nie naprawiamy popsutego traktora. W pozostałych godzinach przebywamy zwykle we wschodnim skrzydle, gdzie mamy mieszkanie. Jesteśmy także dostępni po pracy. – Zrobiła krótką pauzę. – To by chyba było na tyle. Teraz jest już po sezonie. Niewiele się tu dzieje. Czy przyjechała pani w jakimś konkretnym celu?

– Piszę doktorat na temat wpływu globalnego ocieplenia na proces rozkładu na mokradłach. Jestem biologiem.

– Rozumiem. – Agneta uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę w stronę okien. – Czyli przyjechała tu pani z powodu torfowiska. Ciekawe.

– Zamierzam przeprowadzić badania terenowe.

– Te mokradła są wyjątkowe – ciągnęła Agneta. – Kiedyś składowano tu ponoć ofiary.

– Tak.

– Może już pani o tym słyszała? Twierdzi się, że w epoce żelaza zaczęto tu ofiarować nawet ludzi. W biurze mamy broszury na ten temat. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych znaleziono tu mumię pochodzącą z czwartego wieku przed Chrystusem. Można ją teraz oglądać w Muzeum Historycznym w Karlstadzie.

Nathalie pokiwała głową.

– Tak, wiem...

– Borówkowa Dziewczyna – perorowała dalej Agneta.

– Okej.

– Tak ją nazywają, tę, którą tam znaleźli. A jeśli już o torfowisku mowa, to zalecam ostrożność. Teren jest miejscami podmokły, a kładki o tej porze bywają bardzo śliskie. Ale sama pani pewnie doskonale wie.

*

W domku był jeden pokój i kuchnia ze zlewozmywakiem bez kranu, dużą kuchenką opalaną drewnem oraz kącikiem jadalnym z ławą i dwoma krzesłami. Umeblowanie pokoju stanowiło łóżko, szafa, proste biurko, dwa stare fotele i stoliczek. W pomieszczeniu znajdował się także piec kaflowy.

Jesienny chłód przenikał przez grube drewniane ściany. W środku panował ziąb, za to rześko pachniało.

W rogu stało oparte o ścianę lustro. Nathalie usiadła na podłodze po turecku i wpatrywała się w swoje odbicie. Nigdy nie mogła się nadziwić, że wygląda tak świeżo i pogodnie, choć w rzeczywistości wcale się tak nie czuje. Półdługie włosy w kolorze piasku podcinała raz do roku, utrzymując fryzurę, którą przed ośmioma laty zaproponował jej do sesji zdjęciowej pewien znany fotograf. Prosty, miękko układający się, praktyczny paż.

Kiedy miała osiemnaście lat, została „odkryta” pod kinem. Zaproponowano jej kontrakt modelingowy, choć w zasadzie była za niska – i oczywiście powinna odczuwać głęboką wdzięczność za to życzliwe odstępstwo od reguły.

Właśnie ukończyła szkołę średnią i chciała sobie dorobić. Okazało się jednak, że nie znosi przebywać pod obstrzałem spojrzeń. Denerwował ją lakier, od którego kręciło ją w nosie, gąbeczki do pudru, którymi jeździli jej po twarzy, i nawoływania zza obiektywu aparatu – dość opryskliwe komendy mające sprawić, że wykrzesze z siebie coś „wyjątkowego”. Nie wiedziała, co to mogłoby być. Po dwóch miesiącach zrezygnowała.

Fryzura stanowiła jedyną pamiątkę po tym epizodzie. Wymagała minimalnego wysiłku i przyczyniała się do jej miłej powierzchowności, o którą dbała z czysto praktycznych pobudek: dzięki niej otoczenie było usatysfakcjonowane i skupiało się na tym, co na zewnątrz.

W sieni stały dwa baniaki z wodą i duży kosz drewna. Zaczęła od rozpalenia pod kuchnią i w piecu kaflowym. Następnie wypakowała jedzenie i poukładała w szafie ubrania. Rozwinęła dużą mapę okolicy, zawiesiła ją na ścianie przy biurku i włożyła kaptcie oraz gruby sweter.

Przez chwilę chodziła po domku. W piecu trzaskało i trzeszczało. Nagromadziło się sporo dymu, więc musiała otworzyć okno.

Wkrótce wszystko było już w porządku. Podgrzała kupioną na stacji benzynowej puszkę tortellini i zjadła kanapkę z serkiem topionym w tubce.

Za domkiem znajdował się niewielki ogródek otoczony krzewami dzikiej róży, przy wejściu stały dwa sfatygowane drewniane leżaki. Kawałek dalej biegła wijąca się wokół trzęsawiska ścieżka.

Włożyła kurtkę, ostrożnie usiadła na leżaku i omiotła wzrokiem okolicę. Odniosła wrażenie, że nic się tutaj nie zmieniło

nie tylko przez ostatnie piętnaście lat, ale i przez całe stulecia, od dawien dawna. Sękaty szary sosny. Lśniące oczka wodne pośród mokrych zielonych kępek trawy. Przytulne pustkowie w zgaszonej palecie, niewyraźna, połyskująca wełnianka na cieniutkiej rdzawoczerwonej jesiennej łądździe.

Świergot kulika. Wyraźnie słyszała jego echo rozlegające się pod nieboskłonem, choć w tym roku ptak już dawno stąd odleciał. Słyszała go, chociaż z tym bulgoczącym radosnym ćwierkaniem od dawna nie miała styczności. Uwielbiała tokowanie kulika, zanim wszystko się zmieniło, zanim w jej wspomnieniach owo ptasie wołanie przeistoczyło się w drwiący szyderczy chichot, złowrogi trzel, ostrzegający przed tym, co nastąpi.

Rozmyślając teraz o tym, na co się porywa, wydała się sobie zuchwałą, wręcz lekkomyślną. Jakby pod przymusem przekroczyła jakąś granicę, nie będąc do tego dobrze przygotowana.

Na zachodzie ponad roślinnością górowały słupy wysokiego napięcia. Widziała je z okien swojej dawnej sypialni. Były dla niej kierunkowskazem i ratunkiem, gdy czasem zabłądziła. Ta myśl wydawała jej się niepojęta: Jeśli tylko będzie podążała za słupami, w końcu dotrze na miejsce, tam, gdzie wszystko się zaczęło i skończyło.

Mossmarken – kraina lasów i mokradeł. Miejsce odludne – osnute mgłą przestrzenie, pochyłe sosny i grzęzawiska. W dawnych czasach składano tu bóstwom ofiary ze zwierząt i ludzi. Dziś mówi się, że torfowisko domaga się kolejnych ofiar, a seria tajemniczych zniknięć zdaje się to potwierdzać.

Nathalie wynajmuje mały domek w pobliżu mokradeł; prowadzi badania i pisze pracę doktorską na temat bagien. Jednak prawdziwy powód jej pobytu jest inny, ona sama zaś ukrywa mroczny sekret...

Pewnego wieczoru na mokradłach nagle załamuje się pogoda, po czym gwałtownie ulega poprawie, a okolicę zasnuwa gęsta mgła. A gdy na trzęsawisku odnalezione zostają zwłoki, Nathalie musi cofnąć się w przeszłość – rozdrapać niezabliźnione rany z dzieciństwa. Przy okazji toczącego się śledztwa poznaje Mayę Linde, zatrudnioną w policji fotografkę. Obie kobiety, choć każda szuka czegoś innego, odkrywają szokującą prawdę. Lub coś, co może się nią wydawać.

**Ponieważ istnieją miejsca,
których zmarli nigdy nie opuszczają.**

w sprzedaży także



cena 34,90 zł

www.marginesy.com.pl



9 788365 973450

PATRONAT MEDIALNY

**PORTAL
KRYMINALNY**

POCISK
WYDAWACTWO I DYPLOMATYKA

